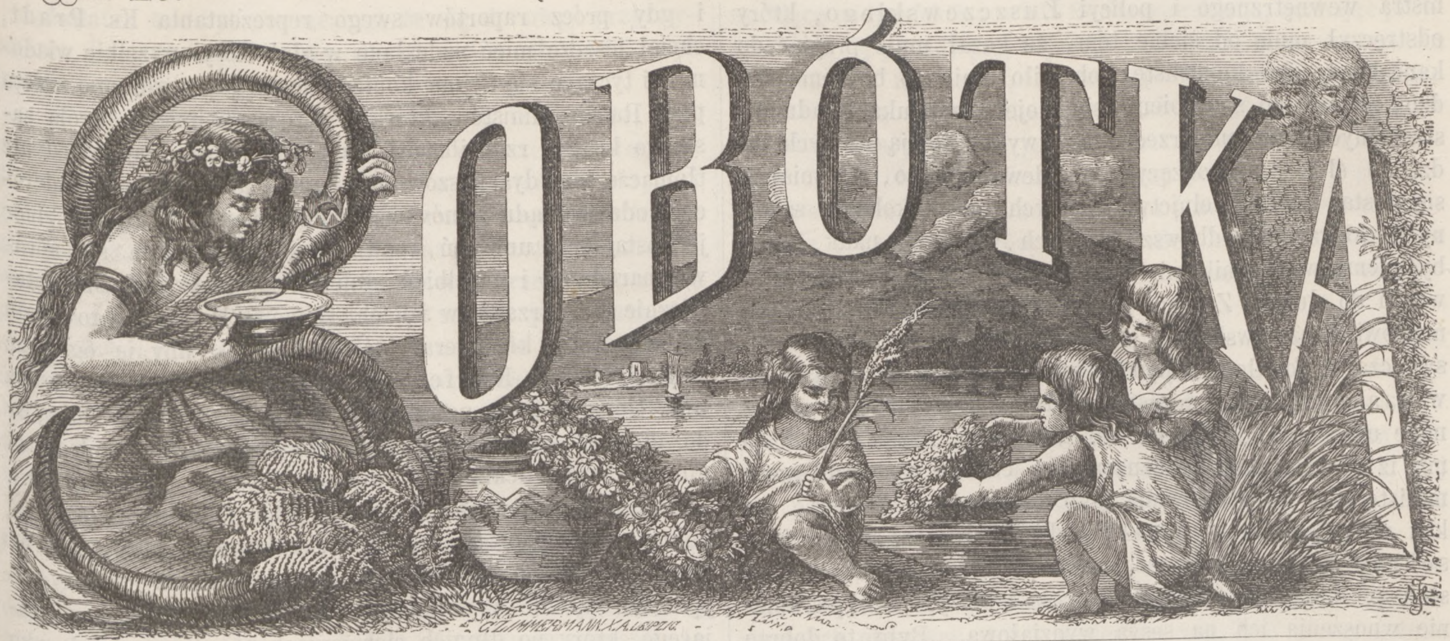
Nr. 12. Poznań, dnia 18. Marca 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo $1^1/_2$ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

PAMIĘTNIK
FRYDERYKA HR. SKARBKA.

Społeczność nasza traci z dniem każdym wydatne swoje jednostki, nie tyle co do zewnętrznéj charakterystyki, jak raczéj, bogato uposażone duchem pełnym szlachetnego zapału, poświęcenia i patryotyzmu, które przechowały święte tradycye narodowe, nieskażenie w swoich piersiach.

Ludzie ci łączyli wiek upłyniony z obecnym, jako drogocenne ogniwa. Jednym z takich ogniw był Juljan Ursyn Niewcewicz, drugim Fryderyk hr. Skarbek.

Ostatni położył zacne zasługi nietylko w kole obywatelskim, ale i na polu literatury ojczystéj, jako autor prawdziwie narodowych powieści, jako komedyo-pisarz, i poważny historyk.

Urodzony w roku 1792, zakończył życie w Warszawie 25 Listopada 1866, licząc 75 lat wieku. Do ostatniéj chwili życia, przechował zapał młodzieńczy, świeżość umysłu, i te same uczucia które są najpiękniejszą cechą charakteru polskiego.

Zbliżony więcéj do autora Pana Starosty i Dziejów Księstwa Warszawskiego, otrzymałem od niego w darze własnoręczny ustęp z jego pamiętnika, ten przesyłam Sobótce, w téj nadziei, że czytelnicy jéj ocenią jak należy, tak cenny zabytek po człowieku godnym naszéj czci i wdzięcznéj pamięci.

K. Wł. W.

Powrót mój do kraju. Ogólny pogląd na czasy księstwa Warszawskiego.

W końcu Lipca 1811 r. wróciłem z Paryża do domu matki mojéj. Odtąd zaczęły się zawody marzeń i nadziei moich. Owa ukochana przezemnie stryjeczna siostra Izabella, w któréj miłość moja towarzyszkę życia upatrywała, ukazała mi się na krótką chwilę w domu rodzicielskim w przyjeździe z ciotką przy któréj odtąd miała mieszkać, i to po raz ostatni, gdyż w rok potem zmarła, zadając najboleśniejszy cios sercu memu i niwecząc marzenia domowego szczęścia, z któremi się tak długo pieściłem!

Ciężary publiczne, ofiary i dostawy któremi wszyscy właściciele dóbr za Księstwa Warszawskiego dotknięci byli, brak odbytu i bezcenność produktów, a obok tego obciążenie dóbr matki mojéj długami, wszystko to spowodowało upadek naszego majątku, i zmusiło matkę do sprzedania znaczniejszych dóbr swoich, po których niekorzystnéj sprzedaży nie tylko nic dla nas nie pozostało, lecz nawet długi wszystkie zapłacone być nie mogły.

Lubo interesa i gospodarstwo wymagały czynniejszego zajęcia się niemi, jak to matka moja dokonać mogła, niechciała ona wszakże abym się im poświęcił, i wysłała mnie do Warszawy starać się o umieszczenie w służbie rządowéj.

Staranie moje w tym celu obróciłem najprzód do mi-

nistra wewnętrznego i policyi Łuszczewskiego, który odstręczył mnie od siebie tem, że kazał mnie przyjąć do kancelaryi jako kancelistę; obraziło mnie to bowiem bardzo, iż pomimo sposobienia się mojego w naukach administracyjnych, miałem przechodzić zwykłą koleją młodych ludzi do służby wchodzących i nadewszstko to, że miałem się dostać pod naczelnictwo dawnych moich kolegów szkólnych, którzy nie odbywszy żadnych wyższych nauk, mieli być memi zwierzchnikami, dla tego jedynie że prędzéj odemnie weszli do służby. Zrażony tym wstępem, podziękowałem ministrowi Łuszczewskiemu za ofiarowane mi miejsce przepisywacza, i podałem o pomieszczenie prożbę do Matuszewicza ówczesnego ministra skarbu, który inaczéj ocenił moje usposobienie, i w bardzo grzecznym liście oświadczył mi, iż chętnie mnie przeznacza do jednego wydziału swego ministeryum do pracowania jako honorowy referent. Jakoż wszedłem do wydziałów dochodów stałych i do sekcyi dóbr, gdzie po niejakim obznajomieniu się ze służbą, zacząłem odrabiać interesa i otrzymałem pozwolenie wnoszenia ich na sesyą wydziałową. Było to dobrze póki sam Matuszewicz przewodniczył tym sesyom, bo zawsze z jego strony wiele doznawałem względów; lecz gdy on poprzestał trudnić się szczegółowo skarbem, aby się poświęcić politycznym sprawom, zamierzoną wyprawą Napoleona przeciw Rosyi wywołanym, objął jego zastępstwo radzca stanu Łuba, który mnie wkrótce odstręczył od dalszéj służby pod jego przewodnictwem.

Właśnie w tenczas nastąpiło wypowiedzenie wojny, rozpoczęcie wyprawy i obok tego owa sławna z nicości swojéj Konfederacya jeneralna, która się wyłącznie ograniczała na napuszonych oświadczeniach słownie i na piśmie ogłaszanych.

Pamiętną mi jest z téj epoki pierwsza sesya Konfederacyjnego sejmu pod laską księcia Adama Czartoryskiego (ojca) odbyta, na któréj Matuszewicz był wymownym tłómaczem złudzeń, któremi Napoleon chciał Polaków omamić i gdzie nibyto wieszczym duchem natchniony wyrzekł te słowa: Będzie Polska! co mówię, jest Polska! po których powstał okrzyk w sali niech żyje Polska! i tysiące kokard szafirowych i karmazynowych spadło z ganków na obradujących, zrzucone przez księżną Czartoryską i inne damy, wcześnie do téj komedyi politycznéj umówione. I ja przy téj okoliczności miałem rolę małą do odegrania, byłem bowiem wysłany przez Mateszewicza do Izby senatorskiéj wraz z kilkoma kolegami, z poleceniem wydania okrzyku niech żyje Polska! skoro on w mowie swojéj zapewni że już żyje.

Wszyscy obecni na téj pamiętnéj sesyi, a zatem i ja między innemi, wyszli na ulicę z ogromnemi kokardami na lewem ramieniu przewiązanemi, a zdziwiona publiczność patrzała z ciekawością na te nikomu nieznane dystynktorya, któremi ozdobieni natychmiast po całem mieście się rozbiegli, zapewniając każdemu, że Polska jest przywrócona.

Od téj chwili przeszedłem do innéj służby, która w złudzeniu naszem zdawała się mnie i kolegom moim wstępem do zawodu dyplomatycznego. Ponieważ Napoleon chciał być zawiadomiony o wszystkiem co się działo w Warszawie, i gdy prócz raportów swego reprezentanta Ks. Pradt, chciał jeszcze mieć nadesłane w głąb Rosyi wszelkie wiadomości tyczące się Sejmu konfederacyjnego, utworzono przeto przy Radzie ministów, która w ówczas w imieniu króla saskiego krajem rządziła, biura tłómaczeń, zajete jedynie tłómaczeniem dyaryuszów tego sejmu, akcesów w konfederacyi, odezw rządu i mów na sejmie mianych. Był to zbiór jednostajnych uniesień, oświadczeń poświęcenia się sprawie narodowéj i uwielbień mniemanego zbawcy, które ustawicznie powtarzano w izbach sejmowych i z całego kraju do kancelaryi konfederacyjnéj nadsyłane, aby je ogłaszać w Dzienniku Konfederacyjnym Wszystko to trzeba było tłómaczyć i to z takim pośpiechem, aby każdy kuryer do głównéj kwatery wysłany, mógł zawieść Napoleonowi foliały czczych deklamacyi, których zapewne nikt nie czytał.

Z upodobaniem przenoszę się z wspomnieniem do téj epoki pełnéj nadziei powstania narodu, w któréj wykrzyknięta na sejmie Polska, a żadném oświadczeniem władzy między żyjące narody nie wywołana, podobną była do tego umierającego, który po długich cierpieniach przed samym skonem znaki i nadzieję życia daje. Z jakimże to zapałem, z jaką ufnością w pomyślny skutek olbrzymich zamiarów Napoleona, witaliśmy wszyscy pierwsze chwile owego mniemanego odrodzenia się naszego, które tylko były początkiem naszego konania politycznego! W całym ciągu mego urzędowego zawodu, nie miałem nigdy tak pięknych nadziei, ani tak świetnéj przyszłości przed sobą! Prawda, że to było w 21 roku mego życia, kiedy się o niczém nie wątpi, kiedy się wszystkiemu dowierza! Obok tych wrażeń czasu i okoliczności, uprzyjemniało mój pobyt w biórze tłómaczeń, najlepsze i najweselsze koleżeństwo rówienników i przyjaciół, którzy memi współpracownikami byli. Była to może najweselsza chwila towarzyskiego pożycia odmienna wcale od spokojnego i naukom poświęconego życia w Paryżu, bo więcéj rozrywkom, przyjacielskim zebraniom i zabawom poświęcona, obok których, przy większéj wolności nigdy jednak rozpusty nie było. Pamiętne wypadki końca roku 1812 zniweczyły wszystkie nadzieje, przed kilkoma miesiącami w całym kraju naszym obudzone. Miejsce uniesień patryotycznych i zapału zajęło zwątpienie, a Warszawa przybrała postać smutną i trwogi pełną, bo żałoby po tém co poszło do grobu, i obawy tego co nastąpi.

Wesołe nasze bióro tłómaczeń rozpierzchnęło się na różne strony, ja sam zostałem przy kancelaryi rady ministrów, do tłómaczeń francuzkich aż do wiosny roku 1813, a nie mając już widoków przed sobą, i nie pobierając nigdy żadnéj płacy ze skarbu, nie chciałem być dłużéj ciężarem mojéj matce, któréj trudno było dostarczać, choć bardzo szczupłych funduszów na moje utrzymanie, wróciłem na wieś, zajmować się gospodarstwem i wyręczać ją w kłopotliwych interesach naszych.

Podziwiać należało, że wszyscy urzędnicy mogli w owym czasie opędzać potrzeby swoje ze szczupłéj płacy, któréj tylko część pewną pobierali, gdyż wycieńczone dochody skarbowe pochłaniały potrzeby wojenne, a służba cywilna była o tyle tylko płatna, o ile zostawało funduszu na jéj opłacenie. Ale w owym czasie nie znano zbytkowego pożycia,

i niedostatek tak był powszechny, że się do niego przyzwyczajono i niespodziewano się nawet aby mogło być kiedyś lepiéj.

W ostatnich czasach pobytu mego w Warszawie, zajmowałem się wiele teatrem, i pisałem w Gazecie korespondenta Warszawskiego recenzye sztuk wystawianych i krytyki gry aktorów. Prócz tego napisałem pierwszą komedyę w trzech aktach p. t. Panna Modna. Nędzna ta sztuka znamienowana niedoświadczeniem młodego autora, przedstawiona raz jeden na teatrze, i źle przyjęta, na zawsze pochowaną została. Byłem już na wsi wówczas i umyślnie zjechałem być świadkiem upadku tego pierwszego scenicznego dzieła mego, którego wystawa przypadła w smutną epokę zajęcia Warszawy przez wojska austryackie, które się odczepiły od sprawy Napoleona.

Przykre i mozolne było pożycie moje na wsi, niedostatek dochodów, rekwizycye wojskowe zabierające wszelkie zapasy zboża, kwaterunki ustawiczne, a przy tém wszystkiém dokuczliwe dopominania się wierzycieli o zapłatę długów, których nie było czém zaspokajać; wszystko to zamieniło tę epokę życia mego w jedną z najprzykrzejszych i dało mi uczuć jak daleką była rzeczywistość od owych marzeń szczęścia, którémi poprzednie chwile młodości poiłem.

W roku 1814 ocuciły się najniespodzianiéj nowe nadzieje narodowe. Nie dosyć przez Polaków w swoim czasie cenione zamiary cesarza Aleksandra pierwszego, objawiły się naprzód ogłoszeniem zasad do konstytucyi nowego Królestwa Polskiego, które bez zapału i z niedowiarstwem przyjęte zostały. W lecie tegoż roku odbyły się sejmiki, a ja zostałem obrany radcą powiatowym na sejmiku Sochaczewskim i skutkiem tego zajmowałem się wraz z kolegami rozkładem podatków i rekwizycyi wojskowych na mieszkańców powiatu, i następnie, a zwłaszcza w chwili nowych ruchów wojskowych, spowodowanych wylądowaniem Napoleona z wyspy Elby, na brzegi francuzkie, zastępowałem przez 4 miesiące podprefekta powiatu Sochaczewskiego, doznając przykrości do téj posady przywiązanych. Podczas mego zastępstwa podprefekta, miałem sposobność przyjmować w przejeździe przez Sochaczew, czcigodnego generała Łanskoj, gdy się udawał do Warszawy jako prezes tymczasowéj Rady rządzącéj. Bawił on cały wieczór w domu podprefekta i po długiéj rozmowie ze mną, ofiarował mi posadę przy sobie, któréj nie przyjąłem, z powodu że nie chciałem uchodzić za sługę nowych panów, póki wiadomem nie było, że narodowość nasza będzie zachowana.

Dopiero w roku 1815 gdy w wykonaniu nowo nadanéj konstytucyi Królestwa Polskiego, zwołano sejmiki — do wybrania posłów i radzców obywatelskich, powołany zostałem na marszałka sejmiku Sochaczewskiego, na którym wybrano mnie na radzcę obywatelskiego, gdyż wiek mój nie pozwalał mi jeszcze starać się o godność posła. Ten pierwszy sejmik był pamiętną chwilą, niespodziewanego odżycia narodowego. Było to dla mnie niemałą chlubą że w 23 roku życia przewodniczyłem politycznemu zebraniu starszych obywateli, i z uniesieniem zagaiłem mową dobrze przez obecnych przyjętą wyborcze zgromadzenie, które mi otworzyło nowy zawód służby publicznéj, w radzie obywatelskiéj województwa Mazowieckiego, któréj wyborem na na członka prowadzącego pióro powołany zostałem. Czynność ta zapewniła mi wpływ na działania téj rady, zwłaszcza że redakcya protokułu pierwszego jéj posiedzenia w ciągu trwania onegoż dopełniona, zjednała mi pochwały wszystkich kolegów moich, i że prezydującym był radzca najstarszy wiekiem, który na mnie polegał. Urząd ten piastowałem przez lat kilka, gdyż na drugich sejmikach zostałem powtórnie obrany radzcą obywatelskim, i prócz czynności w saméj radzie, wybrany zostałem przez nią do deputacyi wyznaczonéj do ukończenia obrachunków po byłéj radzie departamentowéj warszawskiéj pozostałych, i gdy mnie koledzy opuścili, sam tę czynność aż do końca r. 1820 prowadziłem.

(C. d. n.)

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Hrabia zmilkł a po przestanku rzekł: „kiedy jest herb Ostoja?“

„A jest... ale cóż to dowodzi“, rzekł Margocki.

„I panna, powiadasz, będzie miała sto tysięcy talarów? hę?“

Margocki oniemiał na to pytanie. Po milczeniu domyślił się hrabia że go drasnął, spojrzał nań, uśmiechnął się.

„A! zapomniałem że ty się pono myślałeś o nią starać!

„Ale, słuchaj no Margosiu, jabym tobie na tę grę puszczać się nie radził. Umiem cię ocenić — z tém wszystkiem gdyby przyszło do tego żebyś Zosię dostał, elle est plus forte que toi, siedziałbyś pod pantoflem, a nie nawykły do tak ciasnego kąta, udusił byś się wprędce. Zosia ta, to nie pospolite stworzenie, wcale nie pospolite... Patrz tylko — elle a la conscience de sa force. Nie zmięszana, pewna siebie, swobodna, wszędzie jest na swojém miejscu... Dodaj młodość, wdzięk — bo śliczna — i powiedz mi ze stu tysiącami talarów — czyż może być żeby ona za ciebie poszła?“

Margocki był do żywego dotknięty, wstał z krzesła jak przypieczony nagle i począł chodzić po pokoju przyśpiewując, jakby na niegrzeczne pytanie odpowiadać nie chciał. Hrabia złośliwie gonił go oczyma.

„No! nie gniewaj się, Margosiu... ne me boudez pas, przyjacielską ci radę daję, nie kompromituj się...“

„Ale z kąd że pan hrabia tak dziś gorliwy o to abym się nie skompromitował?“ rzekł Margocki. „Proszę być spokojnym...“

„Zrzekłeś się?“ spytał hrabia.

„Nie, wcale nie“, odparł Margocki, „czekać będę tylko aż panu hrabiemu odejdzie fantazya zabawiania się w romansik niewinny ze szlachecką dzieweczką... która z niego żartować może będzie.

„Ma foi!“ zaśmiał się hrabia, „miała by słuszność szydzić, gdybym się na romansik porwał! Nie głupim!

„A więc cóż znaczą te naskakiwania, jeżdżenia, przysiadania się...?“ spytał Margocki.

„Nic nie znaczą prócz że mnie tak platonicznie oczarowała sobą jak piękny posąg lub obraz“, rzekł hrabia.

„Ale Margosio się dowie na pewno czy oni szlachta?“

Plenipotent popatrzał i buchnął nagle.

„Szlachta! szlachta! i cóż z tego? szlachta herbu Ostoja, mieli kilka wiosek, ojciec tego safanduły starego był Cześnikiem... więc dalej co? co?“

I stanął przed hrabią — ten popatrzał mu w oczy.

„Ma sto tysięcy talarów?“ spytał powoli.

„Ma... a daléj co? co?“

Hrabia parsknął.

„Daléj? ja ci powiem co daléj! Słuchaj, gdyby mi się ona bardzo podobała, gdybym ja się jéj podobał, gdyby mi celibat sprzykrzył, gdybym fantazyę miał — któżby mi zabronił ożenić się z nią? Moja hrabiowska korona pokryje szlachecką Ostoję ich — ojciec się wyniesie daléj...“

Margocki osłupiał zupełnie.

„I hrabia myślisz że matka jego, osoba książęcego rodu, że ojciec na to pozwoli?“ zawołał, „to są żarty.“

„Dziś to są może żarty, a jutro może to być prawda“, spokojnie odezwał się hrabia... Ja sobie marzę, a juściż mnie tak dobrze jak komu innemu marzyć wolno...“

„Przyznam się“, podchwycił z goryczą Margocki, „że podobnéj fantazyi po hrabi nigdym się nie spodziewał...“

„Widzisz, Margosiu, trafiają się niespodzianki na świecie — a ja ci jeszcze w dodatku jedną opowiem historyjkę. Wczoraj mama wstawszy od fortepianu przechadzała się po ganku, ja siedziałem z cygarem. Ni z tego ni z owego zaczęliśmy rozmawiać. Mama powiada: dla czego ty nie pomyślisz o ożenieniu? Na to ja:

„Bo mi się dotąd nie zdarzyło spotkać kobiety, która by albo na mnie trwałe uczyniła wrażenie, albo zasługiwała na to, qu' on passe outre, nie pytając czy się podoba... Na to mama — czegoż ty wymagasz po żonie? Odpowiadam — żebym ją mógł trochę kochać i trochę dla niéj szaleć. Wiem że to przejdzie, mais les morçeaux en sont bons. Ot tak rozmawialiśmy z pół godziny, naostatek mama pyta, naprzykład w jakim rodzaju kobieta by mi się podobać mogła? Odpowiedziałem bez wahania — coś w rodzaju Zosi córki naszego arendarza.“

„Arendarza!“ powtórzył Margocki.

„To na jedno wychodzi, dzierżawca, arendarz...“ dokończył hrabia. „Czy myślisz że mama bardzo się obruszyła? Popatrzała na mnie — to śliczna dzieweczka — eh bien, si le coeur vous en dit, vous etes, je crois asser riche, pour vous en passer la fantaisie. To są słowa mojéj matki.“

Margocki powtórnie osłupiał i zamyślił się tak że następującego po tych wyrazach śmiechu hrabiego nie dosłyszał.

„Widzisz“, rzekł Edmund, „ojciec by pewnie skrzywiwszy się, w końcu powiedział toż samo...“

„Tak, wszystko to być może“, ozwał się ironicznie Margocki, „ale kiedy już opowiadamy sobie historyjki, należy hrabiemu odemnie powiastka o tém jak panna Zofia śmiertelnie jest zakochana w panu Julianie.“

Hrabia zerwał się z krzesła.

„Allons donc!“

„Najprawdziwsza prawda!“ rzekł zimno Margocki.

„A jednak ty się z nią chciałeś żenić?“ spytał hrabia.

„Mnie to bynajmniéj by nie zawadzało.“

„Dla czegoż ma mnie zawadzać?“ podchwycił hrabia. Ale po chwilce dodał. „Nie — w istocie, gdyby tak było... no... nie zniósłbym. Ty, to co innego... Mów prawdę — zkąd ty to wiesz?“

„To są stare dzieje! to wiedzą wszyscy...“ rzekł Margocki.

„Chłopak przystojny, ale mruk, milczący i nie umiejący chodzić po ludzku, a widzę go codzień w kątku z tą Caritą, która gdyby oczów nie wystrzelała na kogo, sama by się spaliła od nich — to jakaś chyba miłość dziecinna, niewinna i zapomniana... A co mi tam to szkodzi.“

Począł chodzić po pokoju... i zamilkł.

Margocki też wielce wzruszony wyszedł i dopadłszy swojego mieszkania z furyą począł je mierzyć ogromnemi krokami. Twarz krzywiąc i głowę łysą trąc nieopatrznie rękami, tak że tupet w końcu postradał. To go dopiero upamiętało.

Zosia choć smutna trochę bo nie mogła dotąd ani się rozmówić nawet z Julianem, panowała nad sobą i przed ludźmi nie okazywała co się w jéj duszy działo. Wpadała na różne myśli, a zawsze uznając je niedorzecznemi mówić sobie musiała — będę czekała! on wróci! on moim będzie!

Wytłomaczyła sobie że Julian unikał jéj dla tego iż ubogi, nie chciał sięgnąć po rękę pełną złota, a zarazem powiadała iż gdy się dorobi — co nieuchronnie nastąpić musi — dopiero naówczas przyjdzie jako równy jéj, przypomnieć słowo dane i ów skromny pierścionek, który nie mogąc dla oczów ludzi nosić na ręku, nosili na piersiach oboje...

Domyślała się trochę starań Margockiego, ale z nich uśmiechała się w duchu — wiedziała że ojciec jéj w żadnym razie przymuszać nie będzie. Co do hrabiego, który dla niéj nadzwyczajną okazywał grzeczność nie mogła nawet przypuścić, żeby jemu się śniło starać o nią.

Nikt też z domowych tak dziwacznéj myśli nigdy nie miał i mieć nie mógł, stary Ostójski po szlachecku tradycyjnie znał respekt przed panem. O mało go za kolana nie uściskał jak to bywało, żeby zaś córka jego miała dziedzicowi pałacu wpaść oko — nie mógł się wcale spodziewać.

Margocki też po chłodnym rozmyśle całe zwierzenie się



Rozdział żywności w Paryżu.

hr. Edmunda wziął za trefny żart, którym mu tylko dziedzic chciał strachu napędzić. Dziwował się nawet sam sobie iż na chwilę mógł to wziąć na seryo. Zosia grała wiele, czytała, wzdychała, szukała rozrywki, wymyślała sposoby zbliżania się do Juliana — nadaremnie. Julian stale jéj unikał.

Oczy matki jego widziały to także a dla biednéj kobiety, która na dziecinnéj miłości budowała sobie gmach przyszłego szczęścia swojego dziecięcia — ten chłód Julka był niewytłumaczony — i bolesny.

Jednego ranka wreście chodząc po ogrodzie, długo się namyślawszy, z wielką trwogą, odważyła się dotknąć tego przedmiotu.

Położyła rękę na ramieniu syna i czule się w niego wpatrując, szepnęła:

„Powiedz ty mi prawdę, nie potrzebnie może mięszam się w te sprawy, ale matką jestem, wszystko co mego dziecięcia dotycze obchodzi mnie — powiedz mi — wyście się z Zosią kochali tak mocno, ona, ja to wiem najlepiéj, zachowała dla ciebie całe przywiązanie dziecięce, a dodała doń szacunek na jaki zasługujesz... Powiedz mi, dla czegóż ty, taki dla niéj jesteś zimny, taki z nią ceremonialny? Nie namawiam cię do żadnych nieroztropnych romansów, do bałamucenia biednego dziecka... ale chłodu twojego dla niéj, nie pojmuję. Możesz być w świecie milsze, piękniejsze, zacniejsze dziewcze nad nią?“

Julian zarumienił się, zdawał namyślać — a potém odezwał głosem przytłumionym.

„Moja matko... są uczucia, z których się wytłumaczyć trudno. Prawda, że kochałem Zosię i kocham ją jeszcze, ale miłością brata... Gdybym na chwilę inne powziął uczucie, starałbym się jak najmocniéj je zwyciężyć. Tego moja i wasza godność wymaga... Byłożby to wam miłym, żeby mówiono żeśmy się do domu tego wcisnęli po to aby z przyjaźni jego dla nas korzystać? Żebym ja ubogi sięgnął po rękę bogatéj dziedziczki — bo Zosia będzie bardzo majętną. Nie! z naszéj strony korzystanie z ich dobroci, z ich słabości dla nas byłoby nie szlachetnem. Ja chcę być winien wszystko swéj pracy i samemu sobie! To mój cel. Gdyby Zosia była swobodną, a ja miał to co ona... ale Zosię pochwyci ktoś lada dzień.“

Matka posmutniała, nie było jednak co powiedzieć.

„Moje dziecko, bardzo to ładnie, ale jeśli ona cię kocha?“

„Droga matko“, rzekł smutnie Julian, „gdyby nawet tak było, to fantazya młodego dziewczęcia, która sobie uleci. A któż wie! gdybym się dał uwieść urokowi jéj twarzyczki i fortuny, a potém w dniach posępniejszych posłyszał wymówkę, żal! A! nie! nie! — dodał — myśleć nawet o tém niepodobna...“

„Wiesz co“, odpowiedziała matka, „wszystko to może być prawdą, ty po męzku zapatrujesz się na życie, pobudki są szlachetne — a przecież, mój Julku — ja — matka wolałabym w tobie może widzieć — więcéj serca!“

Julian drgnął cały, zapłonął, pobladł.

„Serce mieć potrzeba“, rzekł, „ale mu się zbytnio dać powodować nie można.“

„Tylko mnie się zdaje, mój Julku, że tak chłodno trzymać je na uwięzi może człowiek naówczas gdy nie kocha. Ty jéj nie kochasz... A więc, rzecz skończona! Szkoda, bo lepszego dziewczęcia nie znajdziesz na świecie, ani co by cię szczeréj kochało...“

Na tém się skończyła rozmowa, Julian odszedł, a matka popłakała chodząc po ogrodzie. (C. d. n.)

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

Telegrafy Podmorskie.

(Dokończenie.)

Wkrótce po zerwaniu się drutu w r. 1858 próbowano wydobyć z wody szczątki jego, lecz tak był zjedzony przez rdzę, że musiano zaniechać zamiaru. Obawiano się tego samego skutku i z nową liną — i dla tego jeden z uczonych pospieszył się z dokładnem wymierzeniem długości geograficznéj Ameryki i Europy. Z Francyi przestrzeń Atlantyku przedstawia szóstą część konturu całéj ziemi, odpowiadającéj około czterem godzinom między Paryżem i Ziemią-Nową. Kiedy na Ziemi nowéj jest południe, w Paryżu jest godzina czwarta wieczorem, u nas około pół do szóstéj.

Obawy zniszczenia nowéj liny zmusiły twórczą kompanię transatlantycką do wyciągania znacznych dywidend. Ale wkrótce się okazało, że obawy te są płonne — gdyż metal obwijający linę chociażby był zjedzony przez rdzę — protegowała ją jeszcze guttaperka, która nie tylko opiera się wszelkiemu zniszczeniu, ale wśród wody wzmacnia nawet.

Raporta finansowe okazują, że ryzyka sowicie przedsiębiorcom wynagrodzoną była. Z początku, pod pretekstem niebezpieczeństwa grożącego linie brano za depeszę z 20 wyrazów 500 franków, czyli wyraz po 25 franków. Przyjmując tę taryfę i licząc siedm wyrazów na minutę, w rok dochód dochodzi blisko 92 milionów. Cały kapitał zaangażowany w to przedsiębiorstwo wynosi 33 miliony. Ztąd téż na miesiąc wypada dywidendy 750,000.

Od chwili kiedy dwie linie funkcyonować zaczęły, cena znacznie się zmniejszyła.

Do biura telegraficznego, publiczność ciśnie się z depeszami co raz więcéj, i opowiadają nawet, że nie tylko ważne interesa tą drogą komunikują się. Elektryczność i sprawom miłosnym i żartom i fantazyi zarówno służy.

W jednym z dzienników czytamy co następuje:

Anglicy używają liny podmorskiéj do spraw nowych. Wszyscy o tém opowiadają w Londynie. Jeden z członków

wpływowych izby lordów przyszedł do biura telegraficznego. „Panie!“ rzekł do urzędnika, „przychodzę z depeszą do Ameryki.“

„Milord zapewne nie wie, że działanie drutu nie jest jeszcze w porządku.“ Było to bowiem w pierwszych chwilach po zarzuceniu liny.

„Czy pan wiesz kim jestem?“ rzekł Milord, „jestem właścicielem dziesięciu tysięcy akcyi waszéj kompanii. Oto jest 200 gwinei — zrób pan o co go proszę.“

„Jestem posłuszny“ odpowiedział urzędnlk, „niech milord będzie łaskaw dyktować.“

I milord dyktował:

„Londyn, 5 godzina wieczorem.

Proszę mi przysłać najsilniejszą iskrę, na jaką aparat wasz zdobyć się może. Przed wysłaniem muszę być uprzedzony.“

O godzinie 7 telegraf z Ameryki odpowiedział:

„Za minutę otrzyma pan żądaną iskrę.“

Po przyjściu tego telegramu, Lord wyjął z kieszeni wyborne cygaro, zbliżył się do druta naelektryzowanego i przyłożył doń suchą hubkę. — Hubka się zatliła, od któréj znowu ekscentryczny Anglik zapalił cygaro — poczém wyszedł spokojnie wypuszczając z ust kłęby dymu.

Wieść o téj zabawce, szybko po mieście się rozniosła. Świat bogaty naśladował dziwaka i odtąd ogień do cygar z Ameryki stał się modnym.

W wielu klubach, w bogatszych składach cygar, palą się i dziś jeszcze lampy, na których czyta się napis: Ogień z Ameryki. Robię przytem uwagę, że za każdym razem, zabawka ta kosztowała do 5,000 franków.

Kiedy w r. 1837 robiono pierwsze próby telegrafu elektrycznego, nikt nie wierzył w ich skuteczność. Dziś jednak na tych niezmierzonych głębinach Oceanu, komunikacya trwa bez przerwy. — Wykonanie tego przedsięwzięcia głównie zawdzięcza się pp. Field Cannig, Gloss, Anderson, Tompson i t. d.

Pierwszą zaś ideę dała Francya. Podróżny Artur Young, odwiedzając robotnika Lomond, znalazł go zatrudnionego korespondencyą z jednego końca domu na drugi ze swoją żoną. Służyła mu do téj korespondencyi nić metaliczna, zakończona z dwóch stron maszyną elektryczną.

Od chwili w któréj depesza telegraficzna przebywa Ocean, z dumą człowiek może twierdzić, że panuje nad czasem i przestrzenią. Słowo wyrzeczone na starym kontynencie w jednę dziesiątą sekundy przebywa przestrzenie wód i komunikuje się Nowemu-Światu. Komu zawdzięczamy ten cud? Zaiste ani dyskusyom metafizyków, ani rządom, ani bogaczom, jedynie pracy i wytrwałości ducha ludzkiego. Przemysł czerpie swe siły w nauce, nauka jest jednym z najślachetniejszych objawów ducha — ona bowiem zdąża najprostszą drogą do prawdy.

Mówiliśmy dotąd o telegrafie prze Anglików stworzonym — łączy on Anglię z Rzecząpospolitą Amerykańską, lecz nie łączy wprost centralnego punktu ruchu Europejskiego, Paryża z New-Yorkiem. Ubodła ta niższość ambitny naród Francuzów — którzy dotąd w dziale przemysłu, światu całemu przewodniczyli. Zrobiono projekt stworzenia linii własnéj, która tę wyższość ma nad angielską, że na całéj przestrzeni w jednym tylko punkcie dotyka lądu stałego, kiedy tamta w sześciu miejscach przez ląd przechodzi, a w pięciu przez wodę.

Kompania zrobiła umowę z rządem i uzyskała potwierdzenie następujących punktów:

Linia telegraficzna ma być wygotowaną na dzień 1 Października 1869 roku. Rząd francuzki zobowiązuje się nie udzielać przez lat 20 koncesyi na telegraf podobny. Cena za dwadzieścia wyrazów nie będzie wyższą nad 100 fr. Dla depesz rządowych cena się zmniejsza do połowy.

Miejsca, przez które na oceanie telegraf francuzki przechodzi, są różne od angielskiego.

Fabrykacyę drutu i wszystkich przyrządów powierzono angielskim fabrykom, które, doświadczone już praktyką lepiéj jak przy pierwszéj robocie, z zadania swego wywiązały się. Ładowanie drutu na znanego olbrzyma Great Eastern, rozpoczęło się 1 Stycznia, i przy usilnéj pracy skończyło się zaledwie 1 Czerwca. Konstrukcya drutu francuzkiego jest różna, stosownie do głębokości morza. Działów takich jest trzy. Pierwszy, t. j. tam gdzie morze jest głębokie mało się różni od liny angielskiéj. Lina angielska składa się z pęku skręconych siedmiu drutów miedzianych, ważących na milę 300 liwrów angielskich. Lina francuzka jest podobna do pierwszéj, z tą różnicą że cięższa, gdyż waży na milę 400 liwrów. Nadto linę obwija cztery oddzielne pokłady guttaperki — tę zaś okręca dziesięć stalowych i galwanizowanych drutów, a to wszystko przykrywają sznury konopne maczane w smole.

Taka lina na wolnem powietrzu waży 1,581 kilogramów na milę; ale w wodzie traci prawie połowę swego ciężaru i pozostaje jéj 765 kilogramów. Na kilometr ciężar rzeczywisty w powietrzu, wynosi 988 kilogramów, razem więc cała lina ważyć będzie 5 milionów kilogramów. Moc téj liny jest tak wielka, że jest w stanie wytrzymać ciężaru swego 16 kilometrów, a ponieważ głębokość w jakiéj jest zanurzona nie przechodzi 4000 metrów, można więc twierdzić, że niebezpieczeństwa zerwania się nie ma żadnego.

Im mniejsza jest głębokość morza, tem lina silniéj jest budowana, a to z przyczyny, że im płytsza woda, tém mocniéj bałwany poruszają drutem, uderzają nim o skały i niebezpieczeństwem zerwania grożą.

Postać olbrzyma okrętu była wewnątrz zupełnie zmieniona. Umocniono go, a miejsce w którém lina miała być złożoną, opatrzono z największą troskliwością i uwagą. — Spuszczanie liny w wodę powierzono tym samym, którzy przy pierwszéj angielskiéj zatrudnieni byli.

Trzy okręty należące do kompanii odpłynęły razem z tym Lewiatanem morza, zwanym Great-Eastern. Dwa miały dwie części drutu, trzeci zaś koniec jego. Trzy fregaty francuzkie odebrały polecenie towarzyszenia téj ekspedycyi, która razem wziąwszy tworzyła specyalną flotyllę.

Dla uniknienia naprężenia i dla ominięcia przeszkód które na dnie oceanu były spotykane, zrobiono linę znacznie dłuższą od przestrzeni którą miano przebyć. Punktem wyjścia był port Brest, położony przy Atlantyku, na zachodnio-

północnéj części Francyi. Od Brest aż do Nowéj Ziemi długość liny francuzkiéj wynosi 5183 kilometrów. Lina angielska z r. 1866, 3511 — z roku zaś 1866, 3440.

Kiedy oba biura, przychodu i odejścia urządzone zostały, przekonano się, że najmniejsze działanie elektryczności z jednéj strony, czuć się dawało na przeciwnéj. Z początku sądzono, że dla iskry mającéj przebyć całą przestrzeń Oceanu, potrzeba bardzo silnego działania maszyny. Rzecz się ma jednak przeciwnie. Twórca telegrafu angielskiego, Francuz Field, powiedział w jednéj mowie z powodu uroczystości na pamiątkę ukończenia telegrafu, co następuje:

Cudowny drut, który nazywają liną elektryczną jest tak delikatny, że działa za najmniejszem dotknięciem się. Kiedy po raz pierwszy w r. 1858. zanurzono linę, sądzili wszyscy, że do przesłania iskry o 3000 kilometrów potrzeba działania elektryczności bardzo silnéj. Tymczasem niejaki pan Clarke telegrafował z Irlandyi na drugą stronę Oceanu, przyrządem umieszczonym w naparstku pewnéj damy. — I drut drżał pod tą cudotwórczą i nieporównanéj delikatności iskierką.

25 Lipca tegoż roku komunikacya między Ameryką i Francyą była ustalona.

14. o godzinie 10. i minut 55 zrana depesza pierwsza zawiadomiła Napoleona III że wielkie przedsięwzięcie skończonem pomyślnie zostało. Telegram kończył się temi wyrazami: „Oby to olbrzymie dzieło komunikacyi dwóch światów z sobą, poszło na pożytek dwóch narodów i Jego Cesarskiéj Mości.

Zaiste wielkie dzieło! Trzeba z bliska się przyjrzeć téj szybkiéj i cichéj rozmowie dwóch światów z sobą, ażeby ją nie zaliczyć do cudu wyjętego ze wschodnich powieści „Tysiąca nocy i jednéj.“

Cud ten stworzył geniusz i praca narodu, dwie twórcze zdolności nie odłączone przy stwarzaniu takich dzieł, jakim jest telegraf podmorski.

Stworzył go geniusz i praca narodu tego, którego owocem ostatnich lat dwudziestu są tak olbrzymie dzieła, jak kanał Suezki łączący Europę z Indiami, jak tunel Mont-Cenis łączący Włochy z Francyą. I jakżeż się dziwnemi zdają losy tego narodu w ostatnich miesiącach!! Zwycięzcy na polu nie krwawéj walki — zwyciężeni orężem!

W roku 1867, kiedy na wielkiéj wystawie w Paryżu do turniejów pracy i rozumu stanął świat cały — zwyciężony dzisiaj, był w ówczas zwycięzcą! Niezbadane są drogi któremi ludzkość postępuje!

My dziś tylko jedno twierdzić możemy, że geniusz, praca i nauka, są synonimami człowieczeństwa, są potęgami szlachetniejszemi niż potęgi spoczywające na ostrzu oręża.

NA WIOSNĘ.

PIOSENKA.

Gdy w gaje wybiegnę, bez celu się błąkam,
Pierś dziwne pragnienia kołyszą,
I gwarząc z górami jak dziecko się jąkam,
O dobrze że drzewa nie słyszą!

Ach Boże! i co to
Mnie dręczy tęsknotą,
Myśl wabi pieszczotą
W nieznany mi świat!

Tam bluszczu zielone, młodziuchne zawiązki
Na lipy usnęły ramionach,
Z listkami, pączkami igrają gałązki
W wzajemnych od wiatru pokłonach.

Precz z bluszczem! ach co to
Mnie dręczy tęsknotą,
Myśl wabi pieszczotą
W nieznany mi świat!

Na polu z gołąbką gołąbek u wzgórka
W skrzydełka trzepoce i grucha,
I dziobkiem całuje i muszcze jéj piórka,
I ona mu gra coś do ucha.

Precz z ptaszką! ach co to
Mnie dręczy tęsknotą,
Myśl wabi pieszczotą
W nieznany mi świat!

O patrzaj, tam usiadł młodzieniec z dziewoją;
Choć niebo do koła się chmurzy,
To oni się pieszczą i nic się nie boją
Ni losu piorunów ni burzy.

O wiem ja, wiem co to
Mnie dręczy tęsknotą,
Myśl wabi pieszczotą
W nieznany mi świat!

K. Brzozowski.

POZORY MYLĄ

(ODGRZEWANA POWIASTKA)

napisał

J. Narzymski.

„Stacya Kutno! minut piętnaście!... Stacya Kutno! minut piętnaście!... brzmiał głos konduktora, i słychać było trzask otwieranych drzwiczek.

I jam się przeciągnął, ziewnął i zaczął gramolić z wagonu. Z Warszawy wyjeżdża się rano, droga nie ciekawa, spać można wybornie, ale około Kutna żołądek prawa swe przypomina. Wysiadłem więc i poszedłem do bufetu. Ale zaledwie palnąwszy kieliszek jakiejś kminkówki, zacząłem się rozpatrywać by najmniéj starą wybrać butersznytę, poczułem że mnie ktoś łapie z tyłu, że dwoje silnych dłoni kładzie się na ramionach moich i całą postacią moją robi lewo w tył, a jednocześnie na twarzy uczułem serdeczne pocałunki jakiéjś wąsatéj fizognomii.

„Jak się masz Ignasiu kochany!... poczciwy!... drogi!...“ wołał głos silny i czysty wśród słów paląc buzi już nie z dubeltówki, ale prawdziwie z szaspotu.

Kiedym nareszcie wydobywszy się nieco z tych uścisków cofnął się trochę, zobaczyłem przed sobą miłą, sympatyczną, prawie piękną twarz męzką. Ciemne, lśniące włosy w tył zarzucone ocieniały czoło wysokie i białe, tem bielsze, że reszta twarzy spalona była jak u cygana i śniada, ową poczciwą, męzką, gospodarską śniadością. Nad uśmiechniętemi ustami rozsiadł się wąs prawdziwie do zazdrości, a ciemne oczy patrzały na mnie tak poczciwie, serdecznie, pociągająco, że nie znając człowieka, można było od razu sympatyę poczuć ku niemu.

„No i cóż stary!... nie poznajesz mnie?...“

„Ale gdzież tam!... Zygmunt“, zawołałem ucieszony, i znów nastąpiły szaspotowe pocałunki.

A ucieszony byłem na prawdę. Zygmunt był moim kolegą szkolnym, więcéj jak kolegą, przyjacielem serdecznym. I niepodobna było chłopca tego nie kochać. Serce jak na dłoni, rycerskość uczuć i popędów wrodzona, instynkta szlachetne i zacne, robiły zeń ulubieńca kolegów, kochanka klasy, bohatera zajść szkolnych, a nawet profesorów robiły pobłażliwemi na małe zdolności i mniejszą jeszcze pracowitość ucznia.

Był to jeden z tych ludzi których postawa, twarz, głos, spojrzenie budzą z góry sympatyę, których chcąc niechcąc lubić trzeba, ale z których wrodzona otwartość i łatwowierność robi zwykle łatwą pastwę dla tych, co ich chcą wyzyskiwać.

Te, tak zwane, serdeczne chłopcy, mają masę przyjaciół, ale zwykle są oszukiwani bez miłosierdzia.

W gimnazyum kochaliśmy się serdecznie, potém jakiś czas pisywaliśmy do siebie, potém stosunek nasz zerwał się, jak wszystko na świecie, i od lat dziesięciu nie widziałem Zygmunta.

Wspomnienia młodości mają jednak dziwny urok, dziwną nad nami potęgę. Razem z kolegą cała epoka życia szczęśliwa a niepowrotna stanęła przed memi oczyma, a jéj wyobraziciel był mi w téj chwili tak drogim, jak przed laty dziesięciu, gdyśmy z patentami w ręku, a łzą w oku żegnali się ze sobą.

Wszystko to jednak mignęło jak błyskawica, bo Zygmunt ani chwili na upamiętanie nie zostawił, a zarzucał pytaniami i sam o sobie opowiadał.

W dziesięć minut więc dowiedziałem się że mój przyjaciel ożenił się przed rokiem, że mieszka od Kutna o małą milkę, że mu idzie nie źle. Tymczasem zawołano do wsiadania, podniosłem się.

„Ależ to być nie może! Zostań, jedź do mnie choć na dni parę.“

„Nie mogę w żaden sposób...“

„Ależ to niepodobna, żebyśmy się tak rozstać mieli... gdzie jedziesz?“

„Do Torunia.“

„Kiedy wracasz?“

„We środę rano.“

„Słuchaj! We środę konie tu na ciebie czekać będą...“

„Ależ... kiedy...“

„Jeżeli ci pamięć naszych lat dziecinnych miła... jeżeli mnie choć troszeczkę kochasz...“

„No dobrze... dobrze... ale na krótko.“

„Jak chcesz, byleś wstąpił ..“

„No dobrze, więc we środę,“

„Słowo?“

„Słowo,“

„No pamiętaj!“

Ostatni ten wykrzyknik już mnie doleciał gdy pociąg ruszał, a machina ciężko oddychać zaczęła.

We środę około południa wysiadłem znowu, ale tym razem już z kuferkiem kawalerskim, i ubrany wizytowo na dworcu kolei w Kutnie. Na peronie czekał mnie zręczny i dobrze ubrany lokaj, po drugiéj stronie dworca lekki, elegancki koczyk zaprzężony czwórką niewielkich ale rasowych gniadoszów.

Z liberyi, z koczyka, z koni i uprzęży, z miny służby wreszcie, przebijała się zamożność, porządek, gust dobry.

„Zygmunt ma się widać dobrze,“ pomyślałem sobie, ale w tejże chwili sceptycyzm i doświadczenie dodało: „ba! rok dopiero jak się ożenił, nie było czasu zniszczyć wyprawy.“

Mimo niegodziwéj żwirówki, bujany na wybornych warszawskich resorach, ogrzewany majowém słońcem, błądząc okiem po łanach kujawskiéj pszenicy i kwitnącego rzepiku, używałem przez te pół godziny jazdy rozkosznego far-niente, a jadąc do towarzysza lat dziecinnych marzyłem o tych latach szczęśliwych, przenosiłem się duchem na ławkę szkólną pokrajaną scyzorykami, grałem w extra lub w palanta, pod-

powiadałem koledze, ukradkiem paliłem papierosy, powoli, przypominałem sobie nawet całe rozmowy z Zygmuntem i innymi, i te nadzieje z marzenia które ich wątek stanowiły, marzenia sławy, wielkości, ofiary lub szczęścia... na których wypowiedzenie trzeba się było posiłkować czasem aż językiem bogów.

Naraz, minąwszy lasek prawdziwie kujawski, bo podobniejszy do kląbu lub ogródka, konie zwróciły na lewo, powóz podskoczywszy przestał turkotać na szosie i cicho a miło zaczął się toczyć po zwyczajnéj drodze, a przedemną w dali — rozwinął się widoczek, wprawdzie nie wspaniały i nie alpejski, ale pełen cichego uroku i piękności swojskiéj. Nad smugiem zielonym, po którym wił się maleńki strumyczek, rozsiadła się wieś kujawska, o murowanych, pobielanych domach, o wieśniaczych ogródkach przy każdéj chacie.

Po drugiéj stronie strumyka, na lekkiém wzniesieniu, sterczały obszerne, porządne, murowane zabudowania dworskie, a na prawo nieco dwór, a raczéj pałacyk błyszczący na tle świerków, lip i drzew owocowych jakie go z przeciwnéj strony otaczały.

Wieś to była jak wiele innych, ale ów pas szmaragdowéj zieloności, te domki białe wśród drzew, ten fantastycznego stylu pałacyk, mały, ale wdzięczny, utulony w ogród obszerny, a wszystko to ozłocone, osrebrzone, rozjaśnione majowemi promieniami słońca, oprawione w olbrzymie ramy zielonych i żółtych łanów, zdawało się oddychać spokojem i radością, uśmiechać się naiwnie jak pastuszek leżący na zielonéj łące i grzejący się na słońcu.

„A co to za wieś?“ zapytałem się stangreta.

„Nasza, proszę Wielmożnego pana, Słupce,“ odrzekł wąsaty wiarus.

Lubię bardzo, gdy służba po staremu, rzecz pańską nazywa naszą, bo to dowodzi że stósunek z panem musi być serdeczny, ojcowski, familijny. Odpowiedź ta więc, jeszcze mnie lepiéj usposobiła.

„Mój Boże!...“ pomyślałem w duchu, „jakiż szczęśliwy musi być ten Zygmunt!... Ale że dziesięć lat przeżytych na świecie nauczyły mnie już nie wierzyć w szczęście,“ dodałem więc sobie: „Ba! pewno się dla pieniędzy ożenił... a z niekochaną kobietą i taki Eden jeszcze piekłem być może.“ I byłem pewien, że w tym pięknym pałacyku zastanę panią brzydką, nie miłą lub głupią, bo mieć zdrowie, piękność, dobry humor, czyste sumienie, dobrą wieś i ładną żonę, zdawało mi się zbytkiem szczęścia na jednego człowieka.

Tymczasem powóz minął wieś, przejechał elegancki mostek na strumyku, dzielnym kłusem czterech gniadoszów okrążył ładnie zarysowany trawnik i zatrzymał się przed oszklonym gankiem.

Od bramy już tam widziałem mego przyjaciela, jak przyłożywszy rękę do czoła patrzał się na drogę. Dojeżdżając widziałem poczciwą twarz jego rozpromienioną, a zaledwie nogę na stopniu postawiłem, jużem się w jego znalazł objęciach.

„A przecież, przecież, mam Cię w swoim domu... mój drogi... kochany... po tylu latach...“

I poczciwy chłopiec prawie ze łzami ściskał mnie i całował.

„Gdzie chcesz teraz... do mego pokoju czy do salonu... żona Cię już niecierpliwie czeka ..“

„Ah! przepraszam,“ odrzekłem, „ale chciałbym trochę ubiór uporządkować...“

„No to choć za mną.“

I Zygmunt wziąwszy mnie pod rękę, poprowadził przez długi korytarz do pokoju wychodzącego na ogród.

„Tu tylko mego ojca lub moich najbliższych przyjaciół umieszczam, żeby ich mieć pod ręką.

Pokój był rzeczywiście prześliczny, urządzony z konfortem i elegancyą, o jaką w naszych domach wiejskich tak trudno. Miał prócz tego rzecz bardzo przyjemną, zwłaszcza w letnich miesiącach, bo mały balkonik obstawiony kwiatami.

Tu Zygmunt kręcił się koło mnie jak dziecko, poprawiał krawatę, podawał grzebienie i szczotki, zdejmował pyłki z tużurka. Zdawało się, że go jakaś niecierpliwość popycha.

„No! już teraz mógłbyś się nawet w salonach lorda Granvilla pokazać... jesteś inneprochable,“ i zaprowadził mnie do żony.

„Oto jest Zosieczku, ten o którym ci tyle razy mówiłem, którego kocham jak brata, którego z takim oczekiwałem upragnieniem,“ zawołał Zygmunt wchodząc do salonu.

Na te słowa z kozetki ponsowéj, podniosła się śliczna jak marzenie kobieta, i wyciągając maleńką swą rączkę do mnie, rzekła srebrnym, dźwięcznym, serdecznym głosem.

„O! tak znam Pana dobrze, i pragnęłabym żeby choć część przyjaźni jaką Pan mężowi okazywałeś spadła i na mnie.“

Słowa były proste, zwyczajne, konwencyonalne, ale kobieta ta spojrzeniem, ruchem, głosem taki wdzięk i urok rozlewała na około siebie, że prawie oniemiałem.

W krótce jednak rozmowa zaczęła iść gładko dzięki zwłaszcza wesołości Zygmunta, dzięki prostocie i naturalności jego żony. Zygmunt układał projekta zabaw na cały tydzień, i mimo protestacyi moich, przysięgał że raz mnie dostawszy nie puści tak łatwo, pani Zofia pół żartem pół seryo zapewniała, że tak mnie bawić będą bym nie tęsknił za Warszawą.

W tém ktoś zawołał pani, a gdy wychodziła, widziałem, jak ją ścigało spojrzenie męża pełne miłości i uwielbienia.

„Wiesz“, rzekłem po jéj odejściu, „twoja żona oczarowała mnie.“

Uśmiechnął się trochę dumnie i odrzekł:

„Oh! taki anioł wszystkich czarować musi.“

„A przedewszystkiem, jak widzę, ciebie...“

„Masz racyę“, rzekł poważnie i z rozrzewnieniem niemal, „jesteś mi prawie bratem, i masz serce więc śmiać się ze mnie nie będziesz. Jestem w niéj dziś zakochany więcéj jak ongi w Andzi... jak ty w Józi... których cyfry paliliśmy sobie piekielnym kamieniem na rękach, pamiętasz?“

I śmiać się zaczął.

„Ale też“, mówił znowu poważnie, trzeba wiedzieć jaka dusza anielska w tych ślicznych formach zamknięta.“

„Więc jesteś bardzo szczęśliwy, poczciwy mój Zygmuncie?“

„Jak tylko być wolno i można...“

Pani wróciła, a w krótce lokaj oznajmił że obiad na stole. W jadalnéj sali zobaczyłem młodego człowieka, o bladéj twarzy, długich włosach czarnych i smętnem spojrzeniu. Zygmunt przedstawił mi go jako pana Henryka, kuzyna żony, uczącego się przy nim praktycznie gospodarstwa.

Fizognomia tego młodzieńca nie podobała mi się wcale. Cierpienie rozlane na młodéj twarzy mogło pociągać, ale z drugiéj strony twarz ta miała wyraz jakiéjś nieszczerości i jakby ciągłéj nienawiści do wszystkiego co go otaczało. Obiad przeszedł wesoło a był wyborny. Siedziałem między mężem i żoną, a oboje ubiegali się, żeby mnie częstować. Tylko kuzynek siedział milczący i zamyślony, choć jadł potężnie. Schwytałem téż jedno lub dwa jego spojrzenia pełne jadu i niechęci rzucane w stronę Zygmunta.

Po obiedzie, przeszliśmy na kawę i cygara na obszerny balkon z widokiem na ogród. Gdy jednak pani Zygmuntowa zaczęła kawę nalewać i kręcić się koło filiżanek, mąż nie mógł wytrzymać, zbliżył się do niéj, wziął lewą ręką wpół, a prawą drobną dłoń jéj do ust przycisnął. Ona postawiła filiżankę, drugą rękę oparła na jego piersiach, i wspinając się na palcach, wyciągała usteczka do ust jego.

Dwojgu tym ludziom było wtedy prześlicznie... Mnie trochę zazdrość ukłuła i odwróciłem oczy, a odwracając wypadkiem spojrzałem na Henryka. Siedział on w kącie i z pod brwi obwisłéj i ściągniętéj, patrzał także na pieszczącą się parę. Usta mu drżały wyraźnie, a z oka taka tryskała nienawiść, że mnie mróz przeszedł po całém ciele. Jakieś podejrzenie w głowie mi błysnęło, ale sam ze siebie w duchu się roześmiałem.

Po kawie, zapaliwszy cygara, obaj z Zygmuntem poszliśmy do ogrodu. Pani Zygmuntowa udała się do siebie, przyrzekłszy wrócić za chwilę, Henryk został sam tylko tam gdzie siedział, smutny i ponury.

Po ślicznych alejach chodziliśmy dość długo z Zygmuntem. Opowiadał on mi swoje życie od lat dziesięciu, romans ze swoją żoną, stan swój majątkowy, plany na przyszłość, nadzieje i zamiary. Pokazywał drzewa które chce wyciąć i te które zostawić zamierza, żądał mego zdania i uwag. Między innemi oglądaliśmy pawilonik ogrodowy, w guście szwajcarskim, umeblowany tylko tureckiemi sofami, z małą podręczną biblioteczką.

„Tu czytujemy sobie z Zosią“, mówił rozpromieniony, tu mamy nasze schadzki miłosne... Ona tylko i ja posiadamy klucze od tego sanctissimum.

Z podziwem patrzałem na to wąsate dziecko, które tak długo świeżość serca i uczuć zachować umiało.

Niedaleko od pawiloniku tego, w gęstym kłąbie bzu i leszczyny, kryła się jakaś altanka niby chińska, ale téj mi Zygmunt zblizka nie pokazał.

„Muszę Cię na chwilkę opuścić... wróć na balkon, zastaniesz tam moją żonę, ja wkrótce przyjdę... i odszedł w przeciwną od domu stronę.

(C. d. n.)

Rozdział żywności w Paryżu.

(Z ryciną.)

Rząd Paryski w czasie oblężenia okazał wiele taktu przy rozdzielaniu żywności między konsumentów. Spekulujący rzeźnicy i kupcy, którzy liczyli, że czas oblężenia da im możność łatwego zarobienia majątku, omylili się w swoich rachubach. Rząd bowiem zaraz z początku wyznaczył wysokość ceny sprzedawanych produktów. Policya po wszystkich częściach miasta pourządzała jatki i rynki i tam sama sprzedażą się zajmowała. Sprzedawano peklowinę, solone ryby, ser i kartofle po najniższych cenach lecz zawsze w bardzo małych porcyach. Nieposiadającym środków na kupno, darmo rozdawano chleb i ryż, ale w tak małych ilościach, by tylko od śmierci głodowéj ochronić. Liczba biednych w Paryżu jest zawsze bardzo wielka, a cóż dopiero w czasie oblężenia. Kuchnie rządowe niemogły nastarczyć oblegającym je robotnikom. W pewnéj części miasta nie najbiedniejszéj, rozdano w jednym dniu 13,000 porcyi. Rycina nasza przedstawia taką kuchnię, a twarze na niéj widziane więcéj mówią niż słowa. Rozdzielane racye nie mają najmniejszego podobieństwa do lukulusowych uczt. Najzwyklejszą potrawą była zupa z chleba. Według opisu konsumentów nigdy oni nic równie smacznego nie jedli — gdyż kucharz rządu tymczasowego tak zwany głód jest najlepszym kucharzem całego świata.

X. X.

Przegląd Teatralny.

Ostatnie dwa miesiące dosyć były obfite w nowości teatralne. Kapitał na przyszłą budowę za pomocą akcyi zbierany z dniem każdym wzrasta, tak że dziś już nie na jednostki ale na dziesiątki tysięcy talarów liczony być może. Kollektorowie tych akcyi żywo po prowincyi się krzątają spotykając wszędzie serca i kieszenie otwarte. Dowód to że ogół nasz pomimo nieżyczliwych téj instytucyi podszeptów, pojmuje zdrowo jéj ważność i nie szczędzi ofiary by słowo stało się ciałem. Komitet ze swéj strony energiczniéj niż przedtém wziął się do

dzieła; słyszeliśmy że wystosował pismo do Prezydenta miasta Krakowa, Dra Dietla, z prośbą ażeby ten przyjął na siebie urządzenie w Galicyi sprzedaży akcyi. Doktor Dietel znany całéj Polsce ze swéj nauki i posług narodowych, odpowiedział przyjaznem pismem, w którém zawiadamia zarazem, że chętnie tych obowiązków się podejmuje i że nie wątpi o gotowości Galicyi w przyjściu w pomoc sprawie budowy teatru narodowego w Poznaniu. Prócz tego nowego źródła mającego zwiększyć kapitał teatralny, dochodzi nas wiadomość o usiłowaniach komitetu odkrycia innéj kopalni dla wzbogacenia przyszłego mieszkania Melpomeny poznańskiéj. Ale o tém sza dziś jeszcze. Przed ukończeniem zadania nie śmiemy się wkradać w tajniki zachodów komitetu — nim się projekta w czyn zamienią, pozostać muszą w ukryciu. Równocześnie z powiększaniem się kapitału, komitet i o budowie gmachu rozpoczyna myśleć. W ostatnich dniach jeden z kompetentnych naszych inżynierów, odebrał polecenie zdjęcia planu z placu przeznaczonego na budowę teatru. Zapewne więc w krótce ogłoszony będzie konkurs dla architektów na najodpowiedniejszy i najestetyczniejszy projekt budowy.

Tyle co do starań komitetu.

Od 1. Lutego do 15. Marca towarzystwo dramatyczne p. Lecha Nowakowskiego, dało dziewiętnaście przedstawień, z których kilka bardzo liczną publiczność zwabiło. Do tych zaliczamy Narcyza Rameau, Froufrou, Lekarza swego honoru, Rewizora Petersburgskiego, Operetki Wiesław i Halszki z Ostroga. W tak krótkim przeciągu czasu tyle nowych i głośnéj sławy sztuk przedstawionych, dowodzi wielkiéj staranności Dyrekcyi — chociaż z drugiéj strony nie przestaniemy twierdzić, że siły dramatyczne, z których towarzystwo pana Nowakowskiego się składa, nie odpowiadają wymaganiom sceny naszéj. Ażeby twierdzenie nasze przykładem poprzeć, bierzemy jedno z ostatnich przedstawień: Rewizora. Zacząwszy od roli tytułowéj a skończywszy na drugorzędnych, wszystkie, prócz może p. Zboińskiego i p. Doroszyńskiéj, albo źle pojęte, albo sparodjowane były. Widzieliśmy Rewizora w Petersburgu, widzieliśmy przed laty dwoma w Poznaniu Rewizora mniemany nawet, bez porównania lepiéj przedstawionego. Rewizor mniemany pana Ładnowskiego był wybornym typem tak zwanego nihilisty — Horodniczyna pani Ekerowa to istna małomieszczanka moskiewska z politurą europejską. — Czyśmy to samo na środowem przedstawieniu spotkali? Odpowiadamy otwarcie: Nie!

Jeżeli przedstawiliśmy słabą stronę towarzystwa pana Nowakowskiego, to dalecy jesteśmy od nie uznania trudności z jakiemi początkująca dyrekcya spotykać się musi. Każdy początek jest trudny, tembardziéj tam, gdzie z piasku bicz się kręci. Zadaniem dyrekcyi być powinno wyrobić siły dramatyczne na scenie swojéj i dla siebie tak, jak je stwarzał n. p. śp. Chełkowski. Tam gdzie szkoły niema, scena jest wszystkiem. Z tego rodzaju szkoły wyszli najznakomitsi nasi artyści, jak Rychter, Królikowski i t. d. Usiłowania te i w naszéj dyrekcyi widzimy. Panna J. Górecka dziś już wybitna, a początkujący Wolski i panna Czajkowska w przyszłości być może usprawiedliwią nadzieję przez dyrekcyę w nich pokładane.

Przybycie na kilka występów artysty pana Rychtera jest nabytkiem tak dla publiczności jak i dla artystów bardzo cennym. Publiczność grą jego lubować się będzie, a artyści młodzi pozyskają wzór godny naśladowania. W sobotę wystąpi on po raz pierwszy w Trefnisiu i Przysłudze; następnie pójdą: Kupiec Wenecki, Szpieg itd.

Przy wszystkich u nas nowo powstających teatrach koniecznemi są konkursa dramatyczne. Bez nich sceny rodzinnemi utworami ożywione być nie mogą; piszący bowiem nieotrzymując nic za pracę swoją, prosić nieraz musi o w pisanie bezpłatne w repertuar dzieła swego. Jest to dział literatury naszéj najwięcéj zaniedbany i najmniéj, a nawet nic nie wspomagany. Scena mająca się budować będzie martwą jeżeli ją piszący nie wesprą. Czem ciało bez duszy, tem teatr bez prac oryginalnych i rodzinnych. Przykład jak dalece konkursa podobne na materyalną i duchową stronę teatru wpływają, mamy na konkursie ostatnim w Krakowie. Ożywił on na czas długi nie tylko scenę krakowską, ale jak się dowiadujemy ożywi nawet i scenę naszą. Korzyści są jasne — czyby więc myśląc o budowie, nie można było równocześnie i o funduszu konkursowym pomyśleć? 300 tal. wystarczy na cel ten. Mówiliśmy z ludźmi dobréj o uorganizowaniu przedstawienia amatorskiego i o poświęceniu korzyści z niego sprawie konkursowéj. Dotąd nie ma nic jeszcze pewnego, ale być może, że projekt ten poparty przychylną opinią publiczną w wykonanie wejdzie; a może téż jaki Krezus Wielkopolski i przyjaciel sceny narodowéj uwolni od tych zachodów.

W krótce bo 20. Kwietnia towarzystwo pana Nowakowskiego opuszcza Poznań i udaje się na letnią wędrówkę po prowincyi. Pierwszem miastem, które to szczęście spotka ma być Gniezno, to Gniezno gościnne i miłujące teatr. Spodziewamy się że i inne miasta żywiéj niż dotąd tą sztuką zajmować się będą i dadzą dowód że teatr dla nich jest prawdziwą potrzebą.

Poznańska publiczność korzystać powinna z krótkiego czasu, w jakim jeszcze teatr w murach naszych gościć będzie.

Brak miejsca nie pozwala nam dłużéj o teatrze dziś się rozpisywać. Na zakończenie donosimy publiczności, że wkrótce podamy w piśmie naszem rozprawy „O kształceniu się artysty dramatycznego i o Opinii publicznéj w dziełach dramatycznych."

Jeszcze jedna nowość. Dowiadujemy się, że pan J. I. Kraszewski napisał dalszy ciąg, czyli raczéj część drugą swego dramatu Panie kochanku, i że takowy scenie poznańskiéj ofiarował.

X. Y.

Szarada.

Pierwsza litera i druga litera,
Ostatnia zaś wspak ważna dla szulera.
Całe jest miasto gdzieś daleko w świecie,
A jakie? i gdzie? z pewnością zgadniecie.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 11: *Szasepoty**).

*) W druku Szarady Szasepoty wkradła się omyłka. W wierszu trzecim w miejsce: „Czwarta i trzecia spoczywa na głowie", czytaj: „Pierwsza i trzecia spoczywa na głowie."

Korespondencye Redakcyi.

Panu N. N. pod Trzemesznem: Dziękujemy serdecznie. — Panu L. W. pod Inowrocławiem: Trudno wszystkim dogodzić. Rady chętnie przyjmujemy, ale obok nich własnego się zdania trzymamy. Dowiadujemy się i my o pogłoskach przez ludzi złéj woli rozszerzanych. W krótce to wyświecimy. — Pani X. X. X. z Ustronia: Przy budzącéj się wiośnie i uczucia poetyczne widocznie się obudziły. Wierszyk ładny — w krótce go zamieścimy. — Panu W. C. w Poznaniu: Prawdopodobnie w przyszłym tygodniu gawęda z miasta zamieszczoną będzie. Czy z materyału przez Pana przesłanego korzystać będziemy mogli, dziś jeszcze nie wiemy. W każdym razie racz Pan wymienić swe nazwisko; anonimy bowiem w podobnym wypadku nie mogą przez Redakcyę być uwzględniane. Za dyskrecyę ręczymy. — Księdzu na prowincyi: W krótce listownie odpowiemy. Dziś prosimy przyjąć podziękowanie za przyjaźń dla pisma naszego.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)